Tygodnik

3 Lipca — 27. — 1819.

Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!
Krasicki wiersz przedostatni Myszeidy

MELANCHOLJA

POEMA PANA *LEGOUVÉ.*

Radość ma swe powaby, ale rzewność tkliwa
Urocznemi wdziękami do siebie przyzywa.
Otoczona milczeniem tém szczęściem pogardza,
Które umysł ogłusza i serce zatwardza;
I człowiek w samotności, dumaniem zajęty,
Przenosi ję nad zabaw rozgłośnych ponęty.
On jej we wszystkiém szuka, idźmy jego torem
W miejsca malarskiej sztuki ozdobne wytworem.

Porzuca te obrazy gdzie pędzel malarza,
Zabaw ponęty, przepych dworu wyobraża.
Te śledzi, w których szuka chmurząc swoje cienie,
Kochanków lub wygnańców wystawia cierpienie.
Z płótna ożywionego dziełem mistrza ręki,
Złudzony mniema słyszeć wychodzące jęki,
I długo jeszcze na nie chciwe zwraca oko.

Na Teatrze być pragniem dotknięci głęboko,
Patrz! jak Fedra występnej miłości oddana.
Poświęcenie się Cyda, rozpacz Orozmana
Zwabia na Teatr widzów tłum nieprzeliczony;
Każdemu miły pocisk, którym jest rażony,
Każdy lubi podzielić zmyślone rozpacze,
Nad udaną boleścią istotnie zapłacze.
Później nawet tkliwego pamięć widowiska,
Nową w nim rzewność wznieca, nowe łzy wyciska.

Jakież dzieło ma dla nas największe ponęty?
To w którém pisarz własném uczuciem natchnięty,
Do czytelnika duszy żałośnie przemawia,
Iljada gdy Hektora smutny zgon wystawia.
Te czarujące pienia: w których, opuszczona
Już błaga, już kochanka przeklina Dydona.
Heloizy Wertera, Herminji zapały,
Jakiém uczuciem duszę naszą napełniały?
Te bolesne obrazy, rysy ujmujące,
Zdają się być natchnięte przez Gracje płaczące,

Oświecony czy prostak zarówno je chwyta,
Odjąć się im nie może, nawet w nocy czyta.
Nie raz jutrzenka, słońca wróżąca powstanie,
Jeszcze nad ulubioną książką go zastanie.
Dusza jego odbiera wrażenia niestarte,
I często łza upada na wilgotną kartę.
Słodkie łzy serc wzruszonych, skutki rozrzewnienia,
Pochodzące z długiego duszy omamienia,
Nędzny kto was nie poznał, kto poznał szczęśliwy!

Spojrzyjmy na ozdobne bujnym płonem niwy,
To żółkniejące pole, bogata winnica,
Na chwilę nas wspaniałym widokiem zachwyca.
Lecz ileż nad nie ciemne przenosiemy gaje?
Tam to człowiek istotnej roskoszy doznaje,
Tam przez gęstwiny liści, słońce walcząc z cieniem
Przyjemny zmierzch kojarzy trafném połączeniem.
Łącząc przyjazne cienie rosną drzew tysiące,
Już w dalekości prostą ulicę tworzące,
Już schylonemi szczyty w sklepienia zrośnięte,
Już w odrębne gaiki już w drożyny kręte.
Nakoniec miły zefir co niemy w równinie,
Tu listkami szeleści, wzmaga się i ginie,
I znowu swym powiewem gałęzie porusza.
Tutaj pierwotną wolność odzyskuje dusza.
Wszystko do rozmyślania, do czułości wzywa,
W tej to ustroni skrytość serca się odkrywa,

Tu człowiek zachwycony takiemi obrazy,
Lubi odnawiać drogie sercu swemu razy.

Jeśli strumień okrąża te ustronia wieszcze,
Szmerem jego wzruszenie podwaja się jeszcze.
Nowych on miejscu temu powabow dodaje,
Łzy i westchnienia nasze unosić się zdaje.
A gdy płacząca wierzba szczęsném nachyleniem,
Swe gałęzie z mruczącym połącza strumieniem,
Na ówczas zachwyceni tak miłym obrazem,
Wszystkich ponęt rzewności doświadczamy razem;
Ileż nas szmer strumieni drzew posępność mami,
One się zdają cierpieć i płakać wraz z nami.
[ptaków,

Słuchajmy! już brzmią gaje wdzięcznym śpiewem
Jeden mój hołd odbiera z tych lotnych śpiewaków.
Filomela nad swoim żaląca się losem,
Ach jak czaruje lasy tkliwym swoim głosem,
Razem uchem i sercem te dźwięki przejmuję,
Zamyślony nic więcej niewidzę, nie czuję,
Niepostrzegam, czy wisząc ponad głową moją,
Ognistemi gromami chmury się uzbroją,
Czy straszna ryczy burza, czy noc przeraźliwa,
Zachmurzone niebiosa cieniami okrywa,
Ja tylko tej ptaszyny słyszę narzekanie,
Nawet jej słucham jeszcze, gdy śpiewać przestanie.
Do tak przyjemnych uczuć Melancholja skłania.

Przybądź posępny zmierzchu żywiole dumania!

Gwiazdę, co ziemię światła obdarza potokiem
Możem wprawdzie na chwilę naszym ścigać okiem,
Gdy niezliczone skarby po niebie rozleje,
I rażącym południa blaskiem zajaśnieje,
Lecz oko jej dotkliwą siłą przerażone, [nę,
Chce spocząć, chce się zwrócić w przyjemniejszą stro-
I tej w obłokach złotych gwiazdy upatrujem,
Której już nie widziemy, którą jeszcze czujem
Jakąż początek nocy ma dla nas przyjemność?
Zachodząca na pola gęstych lasów ciemność,
Zamilkłe śpiewy ptaków, wody zaczernione,
To powietrze przyjemném chłodem napełnione,
Omdlewające kwiaty, bliski szmer strumykow,
I w wieczornej zaciszy odgłosy puszczyków,
Xiężyc, który samotny blady promień rzuca,
Wszystko uczucia duszy wzruszonej ocuca.
Jak nam się tych widoków posępność podoba,
Jak nas mocno obchodzi natury żałoba!
Gdy słońce do zachodu przybliżać się zacznie,
Smutny się mędrzec nad niém zastanawia bacznie,
I na siebie swe myśli obracając razem,
Pozna, że dzień jest życia naszego obrazem.
Tak przedmiotów natury ścisły związek z nami,
Przyozdabia je dla nas nowemi wdziękami.
Z tej to przyczyny jesień szczęsny wieczór roku,
Swą żałobą naszemu podoba się oku.
A kiedy po dolinach ryczą Akwilony,
Gdy z drzew osierociałych pada liść zżółkniony,

Kiedy niestałe wdzięki smutna traci łąka,
Człek w myślach zagłębiony po polach się błąka
I bacznym okiem, ściga powszechne zniszczenie,
W którém zwolna zemłone kona przyrodzenie.
Jeśli płacze nad zgonem ukochanej żony,
Zajmuje go posępność ziemi zasmuconej.
Nie mógł znieść w świetnej wiośnie radości uniesień
Zgodna jest z jego sercem bo cierpiąca jesień.
Te wichry sprzeczne sobie, te szumiące wały,
Świadkami jego cierpień być się wydawały.
Łąki, samotne pola, spustoszone gaje,
Wszystko z jego boleścią połączać się zdaje.
„Łąki! pola! tak woła pełen swojej straty,
Już miłe towarzysze nie zdobią was, kwiaty,
Smutne drzewa, liść waszych nie kryje gałązek,
Równie jak wy najdroższy utraciłem związek,
A łącząc moje straty z waszemi stratami,
Podzielam waszą boleść i narzekam z wami."
Temi słowy dotkliwe ułagadza razy.

Ztąd także wieszcz wspaniałe poweźmie obrazy.
Pozwólcie niech się udam w te lasy posępne,
Z jakąż radością ujrzę skały niedostępne!
Których ponurość w lecie zdobił liść zielony,
A teraz się pozbyły natrętnej zasłony.
Jak lubię okiem mierzyć te sosny, te jodły,
Co dumne szczyty równie z górami wywiodły,

Dziś szczątkami swych ozdób obsypane w koło,
Ledwie korą okryte, smutne wznoszą czoło.
Jak mocno mnie uderza ten łoskot strumieni,
Które kaskadą w lecie, potokiem w jesieni,
Niegdyś skromnie mruczące z łagodnym zefirem
Szumią, gdy ziemia smutnym okryje się kirem.
Z jakowąż trwoga moja złączona słodyczą,
Kiedy gromy padają, Akwilony ryczą,
Kiedy pożerczy ogień wściekła niosąc fala,
Z okropnym trzaskiem dęby odwieczne obala.
Wszystko dzielnie zajmuje wyobraźnię moją,
Tak wyniosłe obrazy w pamięci mi stoją,
I bym lepiej ich cienia rytmy oddał memi,
Zachmurzam pienia moje posępnością ziemi.

Gdzież jestem?.. Skromny cmentarz postrzegam zdaleka,
Ostatnie pomięszkanie zgasłego człowieka.
Idźmy... to cmentarz wiejski... Szacowna prostoto!
Nie ozdabia cię rzeźba marmury i złoto.
Nie wznoszą się na grobach wspaniałe kolumny,
Ani tu z wielkim kosztem spoczywa cień dumny,
Krwawego samowładcy ludów niszczyciela,
Co się nawet po śmierci od tłumu oddziela.
Przeszedłszy przez te proste przez wrota wieśniacze
Gdzie niegdzie bezimienne grobowce zobaczę,
Przypadkowo zmieszana reszta w prochu leży.
Witaj cieniu wieśniaka cześć ci się należy!

Często ci, których grobu oddzielone brzemię,
Próżnym ciężarem jeszcze uciemięża ziemię.
W grobie sam tylko śmierci rodzaj odmienili.
Ty byłeś dobroczynnym w każdej życia chwili,
Ty w nieustannej pracy nad skibą schylony,
Twym znojem dumnych panów uprawiał zagony.
Gdy Mars pogromczej wojny pochodnią zapalił,
Tyś twój naród wyżywiał i tyś go ocalił.
Każdemu grobowcowi w tej skromnej zaciszy,
Chlubna użyteczności pamięć towarzyszy.
Przyjm te łzy, święty cieniu.... ten dowód mej części.
Lecz jakiż pomysł moje odnawia boleści,
Wszystkich śmierć niezbłagana do siebie powoła,
Czy cnotliwy czy zbrodzień, nikt jej ujść nie zdoła.
Tłum śmiertelników tylko nikczemną jest trzodą,
Którą płynące lata do grobu powiodą.
Wszędzie śmierć się objawia, i powierzchnia ziemi
Szeroko jest zasłana prochami naszemi.
Za każdym krokiem naszym ujrzemy te szczątki,
Przerażające naszej nicości pamiątki.
Lecz mnie przejąć nie zdoła, ni podziw, ni trwoga,
Odrywam się od ziemi, unoszę do Boga,
I nieśmiertelność duszy, dzielniej czuję w sobie
Gdy śmiercią otoczony spoczywam na grobie.

Wy co w miastach nieczynne prowadzący życie,
W waszych zabawach siebie samych się chronicie,

Dla was takie obrazy niemają ponęty,
Lecz ty, który natury powabem natchnięty,
Ty któremu sztuk pięknych miłość towarzyszy,
Głos ruin, głos grobowców dusza twoja słyszy.
Ty pamiętnych zniszczenia wyszukujesz płodów,
Ty zagłębiasz się w grobach upadłych narodów,
Uśpione Ilionu budzisz bohatyry,
I radzisz się pamiętnych rozwalin Palmiry.
Żywą księgą dla ciebie ruiny miast dawnych,
Poznaj nicość człowieka z gruzów niegdyś sławnych.
Patrz! Temi już szeroko równiny okryte,
Te jeszcze wznoszą szczyty wiekiem niepożyte.
Lecz ich rysy zatarte, i pamiętne skazy,
Pożerczej ręki czasu zaświadczają razy!
Z nich wyczytasz zbawienną przerażony trwogą,
Postęp lat które minąć i ciebie nie mogą.
Z nich ci się wystawiają rewolucji burze,
Z nich upadki narodów, zjawiska w naturze,
Wód i wściekłych Wolkanów niezatarte piętna,
I nicości dzieł ludzkich nauka pamiętna.
Te wiekami skrzywdzone oglądając głazy,
Liczysz na nich zadane zębem czasu razy,
Ztąd dzielność wyobraźni i moc duszy wzrasta.

Lecz czyliż te zwaliska, ległe w gruzach miasta,
Ten zwalczony wiekami ogrom głazów niemy,
Z tym posępnym Klasztorem porównać możemy?

W nim to sobie grobowe obrawszy ukrycie,
Ludzie na łonie śmierci długie wiedli życie.
Błysło światło rozumu, wszyscy w jednej chwili
Swe obrzędy, żałobę, więzy porzucili.
Lecz te mury gwałtowno spustoszone zmiano,
Zawsze tkliwemu sercu drogiemi zostano.
Ileż to łez rozpaczy te miejsca skropiło,
Ileż o te sklepienia jęków się obiło?
„Śmierć, wieczność i zniszczenie!” ten odgłos ponury,
Którym się jeszcze trwożne zasępiajo mury.
Te ołtarze, gdzie w imie straszliwego Boga,
Wybladłych pokutników przerażała trwoga.
Ten grób, który, powolny najsroższej potrzebie
Przedwcześnie nieszczęśliwy wykopał dla siebie.
Te dzwony które nocne ogłaszajoc modły,
Z twardego ich spoczynku do Kościoła wiodły,
Gdzie nieszczęśni żałobne rozszerzajoc pienie,
Czuwali, gdy spoczywa całe przyrodzenie.
Miłość te miejsca tkliwym przyozdabia wdziękiem,
Miłość tę ciszę częstym przerywała jękiem.
Nad Ransem, nad Komężem, któż się nie użali?
Utracili kochanki, a zawsze kochali.
Próżno błagali Boga u stopni ołtarza,
Zakonne utrudzenie ich zapał rozżarza,
Gorejoca pod kirem miłość nieszczęśliwa,
Od Boga ich odwodzi i modły przerywa.
Zbyt często świętokradzkim przejęci płomieniem,
Imie kochanki z świętém połoczyli pieniem.

Z ślubem i z powinnością strasznym walcząc bojem,
W głuchym grobie, nie mogli cieszyć się pokojem.
Lecz tym co równe rany w sercu swojém noszą,
Pamiątka ich udręczeń staje się roskoszą.
Mniemam że tkliwe echo ich jęki powtarza,
Że widzę łez ich ślady u stopni ółtarza,
Ich cierpienia, ich płacze moje serce dzieli,
I jęczę w tém ustroniu, gdzie oni jęczeli.
Pomnąc jak równym niegdyś przejęty zapałem,
Jak oni nieszczęśliwy, jak oni kochałem.

Takie są dary twoje Melancholjo tkliwa,
Przez ciebie świat nowemi wdzięki się okrywa,
Ty nam drogiemi czynisz i łzy i cierpienia,
Przez ciebie nasza boleść w roskosz się zamienia.
Jeśli sztuka twój obraz wystawić zamyśli,
Niech siedzącą pod cieniem dziewicę wykryśli.
Mimowolna posępność jej duszę przenika,
Roskoszną ją rzewnością poi szmer strumyka.
Pierś unoszą westchnienia, czasem łzę uroni,
Przed nią żałobny cyprys, a Werter w jej dłoni.

Franciszek Dmochowski.

MODY WARSZAWSKIE.

Girlandy na kapeluszach, pospolicie z kwiatów mięszanych, czasem w dwóch rzędach w niejakiej od siebie odległości bywają przypinane. We wszystkich znajdować się powinny polne kwiatki. Różowe z białem i białe z lilla, te są kolory najczęściej razem łączone. — Na kapeluszach z krepy koloru cytrynowego, okręcają korony z bławatków i nieśmiertelników; brzeg przystraja podwójna bufa gazowa; wszystkie kapelusze tak słomiane jako i bawełniane, są zwykle z tyłu wycięte, odgiętych wcale nie widać. — Szarfy z wstążek niektóre sięgają końcami aż do garnirowania sukni, niektóre nawet jeszcze niżej. Stany nadzwyczaj długie, powszechną stały się modą, — falbanki kilku rzędami, są powszechném sukien garnirowaniem; mają być bardzo blisko iedne drugich, a nawet cokolwiek zwierzchnia spodnią przykrywać powinna.

ŚWIĘTY JAN.

Jarmark! Kontrakty! Jakże teraz Warszawa zacna, jak bogatsza niżeli w innym czasie. Połączenie tych dwóch Epok wzajemną zamianę wspierających, tym jest użyteczniejsze, że jedna przez drugą ułatwiona, wzrost obudwóch zapewnia. Mimo tego, mimo nawet dróg lepszych wśród lata, jesienny Jarmark jest zawsze większym; czyli że się odbywa w porze istotnie dogodniejszej, czyli że handlujący do dnia Świętego Michała bardziej są przyzwyczajeni.

Że jednak Jarmark Warszawski, istotnie jest korzystny dla przyjeżdzających cudzoziemców, ztąd poznać można, iż są tacy, którzy od początku żadnego jeszcze nie opuścili; nie przybywają więc dla próby, lecz w przekonaniu pomiernych może, ale rzeczywistych zysków. Kupcy zaś nowości, jak rzecz słuszna, na raz tylko jeden znaczném cieszą się powodzeniem. Tak Toruńskie piernikarki, których towar w pierwszych latach z rąk sobie wydzierano, uległszy pod wyższością przeszłorocznych *Andrutów*, na teraźniejszym Jarmarku zupełnie prawie poszły w zapomnienie. Ta niestateczność losu, obudzi może kogo do głębszych uwag, i starannego jej przyczyn badania, lecz ja muszę pominąć tak

smutne rozprawy, bo mnie daleko milej przyzywa do siebie starożytna uroczystość w wigilją świętego Jana wieczorem, wiernie zachowywana w całym naszym kraju.

Tą uroczystością jest *Sobotka*, zwyczaj dawnością święty, miłą prostotą ujmujący. Znają go wszystkie narody od czasów niepamiętnych, a jego początek różni różnym wyprowadzają sposobem. Że ma być pamiątką, a może wyobrażeniem przesilenia dnia z nocą, o tém wątpić nie można, wszędzie albowiem w tym czasie palić ognie, jest odwieczném podaniem, którego lud podług swego zwyczaju nie rozbiera, lecz ściśle się trzyma.

Przyjaciele starożytnych dziejów, badając dawnych ludów Święta i zabawy, najpierwsze ślady tej uroczystości odkrywają u Indjan. Naród ten którego Religja, później dziwacznemi zeszpecona bożyszczami, w pierwiastkach swoich zasadza się na zdrowych prawidłach rozumu i przeczuciach natchnionego umysłu, ma w swoich obrzędach ten zwyczaj, u nas powszechny; mają go i Egipcjanie. Trudną jest rzeczą, ażeby nasi pułnocni przodkowie, z owemi patrjarchalnemi narodami na jednę myśl trafić mogli, łatwiej przypuścić że ją od nich przejęli, czyli przypadkowym sposobem, czyli za pomocą nieznajomych teraz związków, które dawność czasu zakryła.

Liczne odnogi wielkiego szczepu Teutońskiego zachowuję również ten obrzędek, a czas w którym go odbywaję, rozmaicie zowię przekształconemi słowami z jednego pierwiastkowego języka, *Anglo-Saxony* wzorem Łacińskiego *Solstitium* złożyli *Sunstede* niejako wstrzymanie się słońca. Niemcy średni użyli słowa *Sungichten* przejście słońca, a Sasi daleko trafniej zważajęc na zwrot który słońce robi, nazwali dzień ten *Sunwenden*. Belgjanie we wszystkiém prości nie śledzęc biegów niebieskich, a raczej uważni na czas w którym rzecz się dzieje, utworzyli sobie *Midden Sommer* środek lata. Ztęd też ogień który w te dni rozpalaję, podług wspomnionych nazwisk *Sunwend-Feuer*, *Sungicht-Feuer* i t. d. mianuję.

Przyczyna zapalania ognia, przeskakiwania przez niego, i innych podobnych zwyczajów, zaginęła w dawności czasu. Staraję się przecież niektórzy ję odgadnęć, ale w niczem się nie zgadzaję. Co do samego ognia, rozmaite sę mniemania. Jedni widzę w nim zabytki religji Pogańskiej, a w szczególności obrzędek ku czci matki Kastora i Polluxa; drudzy upatruję oznaczenie największej siły z jakę słońce w ten czas działa; inni nareście, pamiętkę owych ogniów na gwałt rozniecanych, które w czasie niebezpieczeństw krajowych po górach rozkładano, dla ostrzeżenia sęsiadów. Tak ognisko Tela we-

zwało dzielnych Szwajcarów do broni i zwaliło jarzmo tyranów. U nas takie przypuszczenie miejsca mieć nie może. Nie były znane podobne ognie; na czystém albowiem polu, lub w pośród lasu tlejące, nie daleko by były widziane. Skok przez ogień ma podług niektórych oznaczać skok który słońce w ten czas robi przez zakres najdłuższego biegu swojego, inni wolą w nim nic szczególnego nie widzieć, ale go raczej swawoli młodego ludu przypisać. W pewnych miejscach trafniej jeszcze wyrażają zniżenie się słońca, toczeniem koła, i cofaniem go od zapalonego stosu.

Nasi dziejopisowie, nie przemilczeli o tym starożytnym zwyczaju. Wszyscy o jego celu jednako wspominają, wszyscy mniemanie poprzedników bez dalszych uwag przejmują, w samym nawet sposobie opisania nie wiele się różnią. Posłuchajmy Stryjkowskiego:

„Kastora też i Poluxa Rzymskich bożków chwalili, których Lelusem i Palelusem nazywali, co jeszcze i do dzisiejszych czasów u Mazurów i Polaków na biesiadach, gdy sobie podleją, jawnie słyszemy, kiedy Lelum Polelum wykrzykują. Chwalili i Matkę ich Ledę. Zwykli byli mężowie i niewiasty, starzy i młodzi, na święta tych Bogów swoich w jedno się schodzić miejsce, do tańców i krotofil inszych, którą schackę kupałą zwali, zwłaszcza 25 Czerwca, co

jeszcze do tych czasów w Rusi i w Litwie zachowywają, bo skoro po Niedzieli Przewodnej aż do Świętego Jana Chrzciciela niewiasty i panny do tańców się gromadą schodzą, tam ująwszy się za ręce Łado, łado, i łado moja powtarzają. Śpiewając na pamiątkę Ledy albo Ladony matki Kastora i Poluxa, acz prości ludzie nie wiedzą, zkąd ten obyczaj urosł, także owe kołyski dziwne, o Świętym Pietrze i wieczory święte po narodzeniu Pańskim, wszystko starodawnych zabobonów pogańskich poszło, bom się też tego i w Turczech sam własnym okiem napatrzał."

Szkoda że dwóch domysłów o których przy końcu natrącił, obszerniej nam nie wyłuszczył. Gwagnin krócej się tłumaczy:

„A mieli ten zwyczaj, tak mężczyzny jako i niewiasty, tak młodzi jako i starzy, w dni święte tych Bogów swoich, którego z nich kiedy święcono, na miejscach pewnych, gry, tańce, i krotofile rozmaite stroić, a osobliwie 25 Czerwca; które zgromadzenie lud pospolity stadem nazywał, co się jeszcze poniekąd w Litwie i w Rusi, i dotychmiast zawadza po wsiach. Abowiem począwszy od Niedziele Przewodnej, aże do ś. Jana Chrzciciela, niewiasty i dziewki w dni święte do tańca kupami się schodząc, i śpiewając swoje stare pieśni, Ladona często wspominając, rękoma klaskając, i powtarzając Lado, La-

do, szerokie koło okrągłego tańca, wszystkie się za ręce pojąwszy, pośrzod rynku wywodzą; zowie ten taniec Ruś i Litwa Korohodem."

Te dwa wyjątki znajdują się u wspomnionych dziejopisów między krótkiem nadmienieniem o dawnej Religji Polskiej i Litewskiej. Wszyscy inni toż samo miejsce osądzili za najdogodniejsze do wspomnienia o tym zwyczaju. Jan Kochanowski prócz zaszczytu Xięcia Poetów, ma jeszcze inne zalety, dla których wysoko cenionym być winien. W dziełach jego znajdujemy zachowanych wiele zwyczajów o których nikt z dawnych pisarzów nie wspomniał. Takim jest opis Sobotki w Czarnym Lesie. Oto jest wstęp do tej pięknej pieśni.

Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa:
Sobotkę jako czas niesie,
Zapalono w czarnym lesie.

Tam goście tam i domowi,
Sypali się ku ogniowi:
Bąki zaraz troje grały:
A sady się sprzeciwiały.

Siedli wszyscy na murawie,
Potym wstało sześć par prawie,
Dziewek jednako ubranych,
I belicą przepasanych.

Wszystkie śpiewać nauczone,
W tańcu także nie zganione:
Więc koleją zaczynały,
A pierwszej tak począć dały.

Pierwsza więc z tych dwunastu dziewczyn powstaje i nóci:

„Siostry, ogień napalono,
I placu nam postąpiono:
Czemu sobie rąk nie damy,
A społem nie zaśpiewamy:

„Piękna nocy życz pogody,
Broń wiatrów i nagłej wody:
Dziś przyszedł czas, że na dworze
Mamy czekać rannej zorze.

„Tak to matki nam podały,
Samy także z drugich miały:
Że na dzień świętego Jana,
Zawżdy Sobotka palana."

Kolejno wszystkie dają się słyszeć z pieśniami swojemi; ostatnia zakończa znanym powszechnie rymem, który przyjemność wioski opiewa. Ustęp ten oprócz dokładniejszego opisu, jakim sposobem odprawiano Sobotkę, napomykać się zdaje, iż Sobotka musiała być rodzajem bardziej uroczystej zabawy na wzór teraźniejszego po wsiach znanego Wyrzynku. Zbierali się zapewne w dniu tym okoliczni

sąsiedzi, i razem Panowie z wieśniakami, wspólnej pomagali ochocie. Czyżby i ta okoliczność nie mogła być nowym rysem do pięknego obrazu Jana Kochanowskiego który na Scenie naszej widziemy?

Zkąd ten obchód Święto Jański Sobotką nazwany niewiadomo, a lubo niektórzy chcą jego źródłosłów aż z zagranicy sprowadzić, od Czeskiej Góry *Cobten* czyli *Sobten*, przecież na proste zaręczenie tak daleko się zapuszczać niebezpieczno, wolę raczej wspomnieć o mniemaniu nowszych badaczów, którzy z innego widoku rzecz biorąc, w skakaniu przez ogień, wzgardę ognia chcą upatrywać. Ta więc wzgarda nieprzyjaciela wody, opiekunowi tejże wody najsłuszniej podług nich poświęconą być winna. Ale porzuciwszy dziwaczne domysły których jeszcze więcej każdy z czytelników natworzyć sobie może, przystąpię do opisania Sobotki tegorocznej, którą w Warszawie obchodzono.

Dnia 23 Czerwca wieczorem, niezliczone tłumy zebrały się nad Wisłą na most i około mostu. Osobami działającemi w tej uroczystości, jest młodzież bezżenna płci obojej, starsi składają widzów, dzieci do obu stron się mięszają. Pierwiastkowe przeznaczenie Sobotki znacznie się u nas zmieniło, i od ognia, po większej części przeniosło się do wody. Rzadsze już widziałem stosy, lecz za to więcej niż zwyczajnie dziewcząt, do Wisły swe wianki niosą-

cych. Tam je puszczają na wodę, niektóre nawet zdobią świéczkami; przewoźnicy i rybacy czatują na łodziach i chwytają które mogą.

Jeśli wianek ujdzie szczęśliwie chciwej ich ręki, właścicielka tego jeszcze roku bez wątpienia ma dostać męża, jeśli złapany, wykupić go musi żeby na zawsze nadziei nie stracić. Dla czego do Sobotki dodano zwyczaj puszczania wianków na wodę, nie wiem, ale skąd poszło prorokowanie zamęścia dla tych, które szczęśliwe wianki wiły, łatwo pojąć; bo każdy to sobie wróży, czego życzy, a jakież być może inne życzenie młodej dziewczyny?

Tym czasem raźne chłopcy, przeskakując przez ognisko, wprawiać się zdają do tego skoku, który kiedyś biorąc żony mają prawdziwie uczynić. Z równym zapałem młode dziewczyny cisną się do wody. Tłum który je wstrzymuje, zdaje się przestrzegającym odzywać głosem: „Dokąd do życie? Wszak to na raz tylko jeden. A ten wianek gdy wam ujdzie, już więcej nie wróci." — Takie są rozrywki tego wieczora, nie trwają wprawdzie całej nocy jak za Jana Kochanowskiego, ale nie są mniej wesołemi, a oddalając się każdy przytomny, doznaje uczucia tajemnej roskoszy, której sam sobie wytłumaczyć nie może.

Ujmującym jest zaiste pośród letniego wieczora, widok w takiém mnóstwie zebranego narodu.

Te okrzyki i oklaski widzów, trwoga i nadzieja dziewcząt, zdradnemu żywiołowi nadzieje swoje powierzających; te ognie gdzie niegdzie tlejące, osobliwie niezmyślona i głośna radość, która ożywia całe zgromadzenie, wszystko przenosi myśl do tych czasów, których przytomna uroczystość jest zabytkiem, i poniewolnie naprowadza na uwagę, jak mało potrzeba do uszczęśliwienia człowieka.

SZARADA.

Tę co hojna natura wiecznie mai ziemię,
Za ojczyznę *pierwszego* ulubiło plemię,
I tyranów Azyjskich dźwiga na swym grzbiecie.
Drugie nie zbyt daleko znajdziesz w alfabecie.
Wszystko krajom pierwszego większe niosąc dary,
Słusznie od nich czci boskiej odbiera ofiary.